

RADOSŁAW
WIŚNIEWSKI

WIERSE

ALBEDO. ŚCIEŻKA TROPICIELA

tropiciel słyszy oddech kory gdy pękają drzewa
i z oczu wyrastają im dzięcioły, pracowici cieśle czasu,
drażący skomplikowane klepsydry w tężejących pniach.

tropiciel widzi unoszące się w powietrzu, skrzyżowane z tlenem,
tropy uchodźców; czyta farbę tłącą się na zeszkłonym mchu.
z nich odgaduje liczebność stada i wie kiedy strzelać.

tropiciel wie, kiedy tańczy łośnica na trupie królika; zna kształt
run zaszyfrowanych w igliwiu, które mówią przez proroków,
że kiedyś narodzi się ten, który cię wytropi pierwszy.

bo zdradzają cię muchy, które wiedzą wcześniej, rżenie
pijanych trzmieli nad odciskami snów w szkliwie, za które
sądzić cię będą, chociaż wciąż wierzysz, że będziesz oszczędzony.

i wiesz, że żadna samica nie powije tobie młodych, zatem
nie zobaczysz jak rozrywają je drapieżni i nie z twojej ręki zginą
uchodźcy tego lasu, chociaż dobrze wróżysz przeszłość ze śladów.

z każdym krokiem coraz głębiej zapadają się w przezroczystości,
którą masz za mech, igliwie, gnój, próchnicę. podążysz za nimi
z głową coraz bliżej ziemi aż poznasz, że tutaj gra toczy się na śmierć -

tam tylko na życie.

NIGREDO. WARSZAWA. KSIĘGA WYJŚCIA

to nie nasz ląd, chociaż nasze ślady ścięte w grudach białego
żużlu i nasze oddechy osiadły masztach katedr, dryfujących
nad dachami wzburzonych kamienic. i słyszę jak mówisz:
*„już czas wyprowadzić lud wzdłuż dolin i rzek o fałszywych imionach.
już czas wyprowadzić się z luster wzdłuż alchemicznych ścieżek;
od miasta gdzie odbijamy się w przechodniach jak obce ciała
do miasta gdzie gasną latarnie naszej niewoli.”*

to nie nasz ląd, nad którym ariergardy ptaków tłuką łbami o ściany
matni tężejącego mrozu i spadają, w obcym języku przeklinając
błoto. to nie nasze miasto, w którym lud podpala biblioteki, usypując
z popiołu i węgla złowróżbne kontury na śniegu. i słyszę siebie, gdy mówię:
*„już czas wyprowadzić ciebie, chociaż kryjesz oblicze pod pękającymi
maskami pogańskich bóstw; nieświadoma, że nadchodzi Wielki Ptasznik,
a wiedz, że wjedzie do woliery i zabije nas od razu, bez bólu”.*

i wyprowadzam ptaki z obcego miasta. ich niedobitki zostają, przyspawane
do podniebnej blachy; rozcinam węzły brzeszczotem tramwaju; spadam
na południe myląc wilcze stada idące trop w trop. i mówię do ciebie:
*„już czas na nas. jesteśmy wolni, smutni i prawie dorośli do pierwszej
śmierci. już czas, chociaż to nie nasz ląd, nie nasze rzeki, nie nasze wilki,
tak doskonale imitują nasze wycie co noc”.*

POST EIRE 2004. FERIDAD NIE ODBIERA LISTÓW

[...]

Do you want to hear about the deal that I'm making?

[...]

You don't want to hurt me,

But see how deep the bullet lies.

Unaware I'm tearing you asunder.

Ooh, there is thunder in our hearts."

(Kate Bush, Running up that hill)

gdybyś tylko mógł odczytać ten list to by znaczyło,
że się udało i jeszcze żyjemy. przyszyty do ofiarnego
biurka spinkami wpiętymi w nadgarstki zaczynam wątpić
że odruch żreniczny na myśl o tamtej bitwie – oznacza życie.

bo nie ma już kobiet gotowych nieść kadzie z wodą by gasić
twój gniew zmieniający włosy w rudy całun, nie ma warczących
membran za plecami, nie ma dziewczyn, które by stać się kobietami
gotowe były walczyć na kije na równoważniach nad potokiem Shanon.

już dwa lata jak torf i węgiel zarasta wrzosowiska na których mogłyby
oddawać niecierpliwe pchnięcia i przemawiać do ucha językiem
zawiłym i pięknym jak minuskuła. ale wiesz tak dobrze jak ja,
że od dzisiaj nie uczynią śladu na piersiach i brzuchu na znak,

że któryś z nas spotkał łódź we mgle lub nie wrócił z ulsterskiego
brodu. nie ruszą nas pomścić gdy staniemy na ziemi i baranie struny
podtrzymujące nas w pionie stracą strój i pozwolą nam się rozejść
w szwach. gdybyś tylko mógł odczytać ten list, to by znaczyło,

że jesteśmy ich warci
że potrafimy odchodzić.

MAJ 1989. KARKONOSZE RODZĄ GRUDZIEŃ

Kasi Ruseckiej

Dla dolin zbliżał się czas rozwiązania. odchodziły wody w nabrzmiały bęben nizin a błotny szrot zwiastował, że stanie się według przykazania. traserom wzdłuż kręgosłupa karkonoszy rosły pióropusze opłatków, których po latach nie ma o co kruszyć, jakby zostały wykradzione z kruchty gdy młody bóg ssał piersi pełne żyznego śniegu. krótkofalówki na granicy powtarzały imiona z obojętnością gwardzisty liczącego ciała po bitwie. *„próbowałem ich zdjąć, idą dalej, przejmij ich, odbiór. przejmuję, bez odbioru.”* w łopocie imperium kontratakującego na powietrznych lodowcach trzeba było komuś ufać i chciałem aby to było zapisane ale zostały tylko plany cięcia żył drapane rylcem na okładce zeszytu. ani śladu nas po kolana w białej mierzwie; nocy rozplątanej pierzastymi brzytwami, złodowaciałych straków tych, którzy wracali w aureoli roztargnionej świerczyny, szronu w chrapach.

śnieg o wielu twarzach nadal drzemie pod ziemią. on zna powód dla którego nosiłaś następców w zagłębieniu pod splotami piersi; dla którego bez powodzenia, próbowałem uwolnić ptactwo z tętnic, gdy okazało się, że po bitwie są tylko ludzie. wtedy Pan Ksiądz odmówił prawa najświętszemu Żłobowi by umocnił się we mnie, więc od dzisiaj umacniam się w Tobie. przypominam z profilu zarys Reduty Rajewskiego. Jeszcze Cię widzę w bramie ogrodów Schönbrun gdy wołają na kolację. stoisz z parą infantów uczepionych rąk jak mrozoodpornego bluszczu. na krótkiej fali grudnia ryję patykiem ostateczną wersję modlitwy: *„Proszę, kiedy śnieg wypełźnie spod pól, zagajników, brzezin — przejmij ich, bez odbioru.”*

ALIBI ALBO STAWIACZ MIN

*I to będzie jak grom, jak niszczyciel,
jak O.R.P.,
(Karol Maliszewski, Czy można?)*

zgrzyt starych blach i te sprawy, te słowa mówione
kiedyś w worku na głowie, ze stygnącym gipsem
w ustach mogłyby być twoim usprawiedliwieniem,
jak ostatnia mina dryfująca na północ od półwyspu

a półwysep byłby jak wyspa po nieudanej próbie
rąbania kotwicy. te sprawy, pomagają zrozumieć
że nic nie będzie jak grom burza błyskawica (zanim
odeszły na rozkaz jak pekińczyki przed sztormem);

nic nie wywróci się jak wichher do góry dnem. stawaj się
niezłomny jak stawiacz min pod atakiem powietrza
— tego niebieskiego nic w tle, które obdarzali czułością ranni
i cywile opuszczających pokład w poszukiwaniu alibi

albo stałego lądu.

GODZINA W.

*Andrzej Morro Romocki kilkadziesiąt lat po trafieniu
niezidentyfikowaną kulą na Czerniakowie
wysłała długiego esmesa do Radosława na bezpłatny
numer: 01-08-1944-2005*

podmucha idący od rzeki wyrzuca z lasów ptactwo i formuje słupy powietrza i węgla na zachodnim brzegu. nie ustawajcie, wołam do skłębionej mierzwy gawronów zmiotanych w poprzek mostu a Tobie wysyłam ostrzeżenie, Radosław, bo stoisz w pół drogi i zawadzasz. z ich lotu dowiesz się że godzina w jak wąwóz nadchodzi jak złodziej nocą i bliski jest czas potwornej paruzji, łykania czarnego gradu. będzie tak samo, ale nie popełnimy błędów, Radosław. zanim się zacznie zrobimy briefing dla mediów. nie zatrzymają rzezi ale przeciągną na naszą stronę opinię, która jest publiczna jak dziwka i wywołają na całym świecie protesty alternazistów (pod warunkiem że nie będziemy odrzucać głów jeńcom). bezbłędnie osiągniemy zwartość i właściwą koncentrację dzięki kanałom gsm. na próbę posyłam ci esemesa, Radosław jak anioła-gwiazdę na znak, że godzina W jest jak wietrzność i widmo oraz że nie powtórzę błędu. wołałbym hodować owce na Szetlandach,

Radosław – nie strzelać.

ANNABERG. 2.04.2005

I'm talking about my generation

(The Who)

ostatnie pilastry śniegu umacniały się w zagłębieniach. rafineria
łypała w niebo rozczapierzonymi lunetami kiedy płynęliśmy
przez archipelag kaplic. gorzko skandowali weselnicy w domu
pielgrzyma. nagle dzwony i ludzie zewsząd, polnymi tropami ku górze.
tłumnie, jakby chłopaki z trzeciego śląskiego razem z freikorpsem
powstali do apelu. powiedz jakiej sepii użyć by opisać grudę
którą brnęli; jak wykreślić kurs barki odchodzącej ze szczytu
pod wiatr. *to pierwsza ciepła noc w tym roku* – powiedziałaś.

wokół erodowało powietrze jakby miało zapaść.

NEO/NOE

trying to walk in my shoes

Depeche Mode

szedłem brzegiem wody gdy bałtyk powstał w fale
wysokie jak drabiny. zerwał się wiatr i wszedł między
burty nieskończonego. kipieli wyrosła ponad wydmy
i zostałem powieszony nad otchłanią. w niej rozwarły się
nowe wody a wszystko co było pojedyncze, zostało
rozdwojone i wchodziło przez rozpadlinę w boku.
włosy wychodziły z głowy jak potwory pełzające
i gadające. unosiłem się wśród nich niczym drapieźny
pęcherz pławny szukający ryby aby ją połknąć i być
z nią jedno ciało, jedna ciemność. teraz rozpinam łuk
na znak że pamiętam o każdej istocie
która nie doczekała spełnienia obietnicy i teraz jest
tak zupełnie martwa, że jej nie ma. nie obchodzi mnie
jak to jest – chodzić w twoich butach,

przymierzę nowe.

ZWROTNICA

*wydłubałbym ci z oczu kawałkiem starej blachy
bielsze od hostii zboża i rdzę kapiącą w piachy*

Tadeusz Nowak, Psalm Litościwy

wchodziliśmy do snu wąską kładką nad torami,
umundurowani urzędnicy państwa mówili
żeby starsi pomagali młodszym się przesiadać,
żeby brać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, nie ma
sensu obciążać się tym co już było. za kładką
wyburzone dzielnice, port, mewy, ujście rzeki.
jakim cudem chciałem znaleźć podziemne
przejście na skraj znanego lądu? jesienią
znajdziemy zupełnie inne plany, innego miasta
na innej ziemi. tylko po to by oddać mu wszystko
co zostało w nas ludzkie i również je porzucić,
odleżeć rozstania w śniegu, który jest w drodze
do nas. on jest zdolny do wszystkiego. na stałe
zamieszkamy dopiero wiosną. tymczasem
ktoś żyje naszym życiem, złośliwie przebiera
snami. dla nas jest chrząst kruszywa pod kolanem,
rdzewiejący kawał blachy wbity w zwrotnicę,
przed nami.

WESTERPLATTE. AVATAR AUS MUNICH

*Pewnego słonecznego dnia niosłam do chrztu małe dziecko
w długiej białej sukience*

Sophie Scholl

znad zatoki szły pierwsze szeregi zmierzchu,
pracowałem przy sieciach na plaży z widokiem
na wyłaniającą się łachę po zachodniej stronie.
W kanale pokrzykiwali bagrownicy, północny wiatr
formował krótkie i strome grzbiety. nieznajoma szła
w stronę kaplicy, zbliżała się pora nabożeństwa.
nagle ziemia usunęła się spod jej stóp. zdążyła
podać mi dziecko zawinięte w białe płótna. mówiła
o lodowcach, zamku na wzgórzu, ostrzach szybkich
jak wiatr od którego trzeba osłonić ujście rzeki.
w oczach dziecka zobaczyłem wcielenia moich
córek i synów, przybyszów ze wschodu, znad rzeki
o trzech porohach; słupy dymu, słupy ognia i zachodnią
łachę ogromniejącą pomiędzy nimi. na koniec widziałem
na zabliźnionym niebie białe cirrusy, jakby bandaże.
na plaży stał rybak pośród moich sieci, patrzył na dwoje
ludzi u wejścia portu. dziecko na moich rękach mieszkało
między nimi.

ARARAT. MSZA ZA PRZEŚLADOWANYCH

Patrykowi

staliśmy wśród kamieni, tak nieliczni, jak
wtedy, zebrani po wezbraniu, na skalnym
zębie pierwszej katedry. samotni jak klekot
żerdzi na szczycie podwodnej góry. dwadzieścia
palców wyszczerzonych w niebo spomiędzy
ciepłych okruchów i stosów pacierzy. wszystko,
co było potrzebne żeby wspomnieć czerwony
śnieg, piach, strzał na przełęczy i zimne prądy
niosące drobiny krwi; te znaczące grudki
wciskające się w pustkę między słowami.
nad odra wschodził wiatr i grąd szklił się
pomiędzy brzegami. rzeka nad nami unosiła

każdą ufną kość.

NANGPA-LA

Pamięci Kelsang Namco

ta wąska struga ludzkich krwinek
uparcie spływa wbrew prawu pod górę,
ku przełęczy, która jest niczym otwarty
właz na środku ulicy wolnego miasta.

są podobni do tłumów wyrywanych
przez sierpniowe słońce prosto spod
ziemi. idą nawet wtedy, gdy słyszać
strzał – bezgłośnie klaśnięcie jednej

dłoni. nawet kiedy pada przewodnik
i leży na czerwonym śniegu martwy
jak żyd. nad nimi szaleje zamieć,
masy wezbranego powietrza i mrozu

wolnego jak tybet.

MIMIKRA

*Wszak w pacierzu owoc żywota pochwalony
choć bez domu, żony, środków,
trudno powołać się na przodków*
Miroslaw Czyżykiewicz, *Tańcz*

wielki i siny jest jaszczur przysłuchujący się naszym rozmowom o zmierzchu. on widzi przez drzewa i wie swoje. o każdej porze roku, nie wierzy, że to się może udać i z czułością obserwuje ciebie, gdy próbujesz oduczyć żywy kamyk skurczów. *trochę pokory i dyskrecji, tętniąca perełko*. tak, było bezpiecznie, ale nie teraz, gdy stało się, jak tego chciał izajasz, i stoisz wszystkim na drodze, ogołocony z tego, co ludzkie, bez chitynowego pancerzyka. a tak byłeś bezpieczny, kamyku pełen ciepłej żywicy, noszony w tajnej zatoce kości i żył, spokojnej jak pearl harbour, ale wyszedłeś na światło i teraz każdy może cię zamieść pod asfalt. tak mówi las, który uczy mimikry, sztuki zamglenia, przylegania do szyby, ziemi i śliny. jest jeszcze szansa, żeby się nie dać. tak łatwo. nie dać się wywlec z tego lasu.

BRESLAU BRESLAU

Agnieszce Mirahinie

czytałem wiersze w niewygodnej pozycji między torami. była szósta rano, nie padał śnieg i krajobraz szkił się jak wycięty prosto z plazmy. mieniły się slajdy, projekcje niczym paciorki w oczach tubylca, gdy potrząsają mu przed oczami nabitą lufą i mówią (z trudem kryjąc akcent gdzieś z estremadury):
– *nu bieri, swołocz*. wszystko, co myślisz, zostanie użyte przeciwko polom rzepaku, topolom i trawie. ktoś postawi tych zgranych aktorów pod murem i uruchomi projektor. nikt nie powie już nigdy, że nic nie wiedział, że tylko wykonywał rozkazy. w eterze unoszącym się nad wodami będzie słyhać dużo więcej. *tu mówi breslau*
– komunikat dla ultrakrótkich – *ten się śmieje, kto się broni ostatni*.

ZIEMIE ODZYSKANE

...żeby w tej nocy, wiedzieli, że jest kto dowodzi...

Melchior Wańkowicz

to się komuś śni, że w dół białego żlebu schodzi lawina.
prawdziwy jest rozbłysk w głowie, że najwyższa pora
przywiązać się do przedmiotu wbitego w kamień;
wiedzieć, kto jest na końcu liny i skąd głos, który dowodzi.

przebudzony widzi odwrót ławicy śniegu i dostrzega
w pstrążyisku taniec wrzecion żywej rtęci i jadalnych
ryb o barwie ołowiu. z linii wynaturzonych żył może
odczytać mapę rzek i wododziałów, zarys podziemnego

kraju, który się rozrasta. on czeka na
przybicie odkrywcy za ręce, za nogi,
za żywota.

GROSSTRAKTOR METAPHISICUS

powinieneś był to wiedzieć. nie wolno wyjmować gwoździ
wbitych o zmierzchu w kotlinę. nie znosi się do spokojnych
miast miedzi brzęczącej po szlakach. nieuważnie postąpiłeś
i pod sudecką gwiazdę się uciekaj, idioto. a oto grosstraktor
metaphisicus wybudza się z cichym pomrukiem po drugiej
stronie gór suchych. cały mordor rusza zwartym czambułem
z broumovskich ścian; żłobiąc bruzdy, idzie prosto w rozwarte
przełęcze. bądź pewien, że wgniecie twój kontur w skałę. czekaj
na ten cień. nie lękaj się.
śpiewaj.

WROCŁAW. OUTREMER

to miasto jest przeźroczem, w które wchodzi woda
i formuje człowieka, a potem wychodzą z jego trzewi
na żer ryby, kraby, węże morskie. to miasto jest pustynią
widzianą oczyma boemunda, gotfryda, tankreda i innych,
którzy szli przez piasek ku antiochii. wierzyli, że świat jest
płaski i opiera się na żółwiach zawieszonych nad otchłanią.
a otchłań znaczyła bezmierną głębię, a bezmiar był dotykalny.
to miasto jest opłatkiem rzuconym na czerń. czuję ślepe zwierzęta
przemieszczające się pod nim. górą ptaki, których jeszcze nie ma.

ARCHIPELAG ŚLĘŻA. KAMPANIA WSCHODNIA

Henrykowi Wańkowi

jeżeli przyjdzie większa woda od tej, którą wyśnimy,
pozostanę uziemiony, skąd będzie widać odsłonięte
brzuchy tych, co widzą lepiej na powierzchni tego
niebieskiego u góry. u brzegów archipelagu będzie
można się uczyć sztuki wychodzenia na ląd.
żywi będą mieli udział w tej kampanii. z tobolska
ciągnęli wytrwale tobołki, węzłki, orzełki. martwi,

którzy nic nie wiedzieli o tym, że ich nie ma,
zajmowali się edycją zdjęć paula scholza,
szepcząc: *to nie tak miało być, zupełnie nie tak,*

stanie się tak, jak gdyby nigdy nic nie było – mówili
żywi, usypując na szczycie wyspy stos szelestnych
imion, o których nie słyszał świat. Łuniniec, Sniatyń,
Kołomyja. w nocy widać liny pod ziemią i akrobatów
wystawiających głowy dla zaczerpnięcia oddechu.
tak będzie – mówię i czuję wiatr w grudach cementarza,
z którego patrzymy na wschód – *a nad nami będzie*
żeglował indiaman z ładowniami pełnymi odzyskanej ziemi.

IN ABSENTIA. REKONSTRUKCJA

kogo wzywałeś, ten pozostaje nieczuły na głos łowcy,
odchodzi w płomień tonącego okrętu i wychodzi zeń cało.
i ma nadzieję, że przewodnik wywiedzie go z czerwieni
tego morza. nie daj się zwieść tak zwanemu realizmowi,
to ten sam łowca, którego nie sposób zlokalizować,
dostrzec po szramach na wodzie, bliznach na niebie.
przychodzi i bierze to, co jest jego, bo nic nie jest twoje.
i nic z tego, co nie twoje, nie będzie zapomniane, nic,
co wydarzyło się przez dziewięć dni i nocy, gdy z ikon
schodzili ludzie, krążyli wśród brzoź, szukając swoich,
próbując odczytać kierunek i czas lądowania.

ABDYKACJA

Gabryelowi

oto oddaję wam świat, ale nie łudźcie się, wy,
którzy macie nadzieję. nie wystarczy wymienić
cynę na inny metal, by pić wodę bez popiołu
i nie doświadczać tego, że życie jest przeciągłe

jak wycie psa. dlatego pozwalam wam układać
pleśniejące wzgórza z książek opodal miejsc,
które znałem i były mi bliskie. trzeba je teraz
podpalać, jedno po drugim, zanim będzie za późno.

a potem będziemy tańczyć wokół labado, labado,
labado, straszego walczyka. rewolucja nie ustanie
dlatego, że ktoś wystawi na spalenie fotografie
końca świata, wykreśli obce fonemy z języka

ludzi i ukwiałów. albo powie: „pola dla polaków”.
nie ma plastra, który przylegałby na tyle dobrze,
aby kropla ropy nie spłynęła do nowych naczyń,
które podstawiacie rzece do ust. a wasze serca

nie zaprzestaną wędrówek na odległe torfowiska,
gdzie będą uczyć się trudnej sztuki skowytu.

Radosław Wiśniewski – ur. 1974, mieszkający we Wrocławiu autor kilku tomików – ostatnio *Inne Bluesy* (Olkusz 2015), *Psalm do św. Sabiny* (Brzeg 2016). W przygotowaniu duża proza pod roboczym tytułem *Trans-migracja*, oraz dwa zbiory wierszy – *Dzienniki Zenona Kałuży* i *Kwestionariusz Putinowski oraz inne wiersze ku wkurwieniu serc*. Współzałożyciel i współprezes Stowarzyszenia Żywych Poetów z Brzegu. Były redaktor naczelny ex-kwartalnika „Red.”. Wieloletni współpracownik „Odry”, „Studium”, „Undergruntu” i kilku innych nieistniejących pism literacko-artystycznych. Nienominowany, nienagradzany.